
TAM, GDZIE RODZI SIĘ BURZA
Pod Powierzchnią #1
JULIA HELLAR
Rebelde
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Julia Hellar
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Ilustracje:
Gabriela Waszczuk @ksiazkartystka

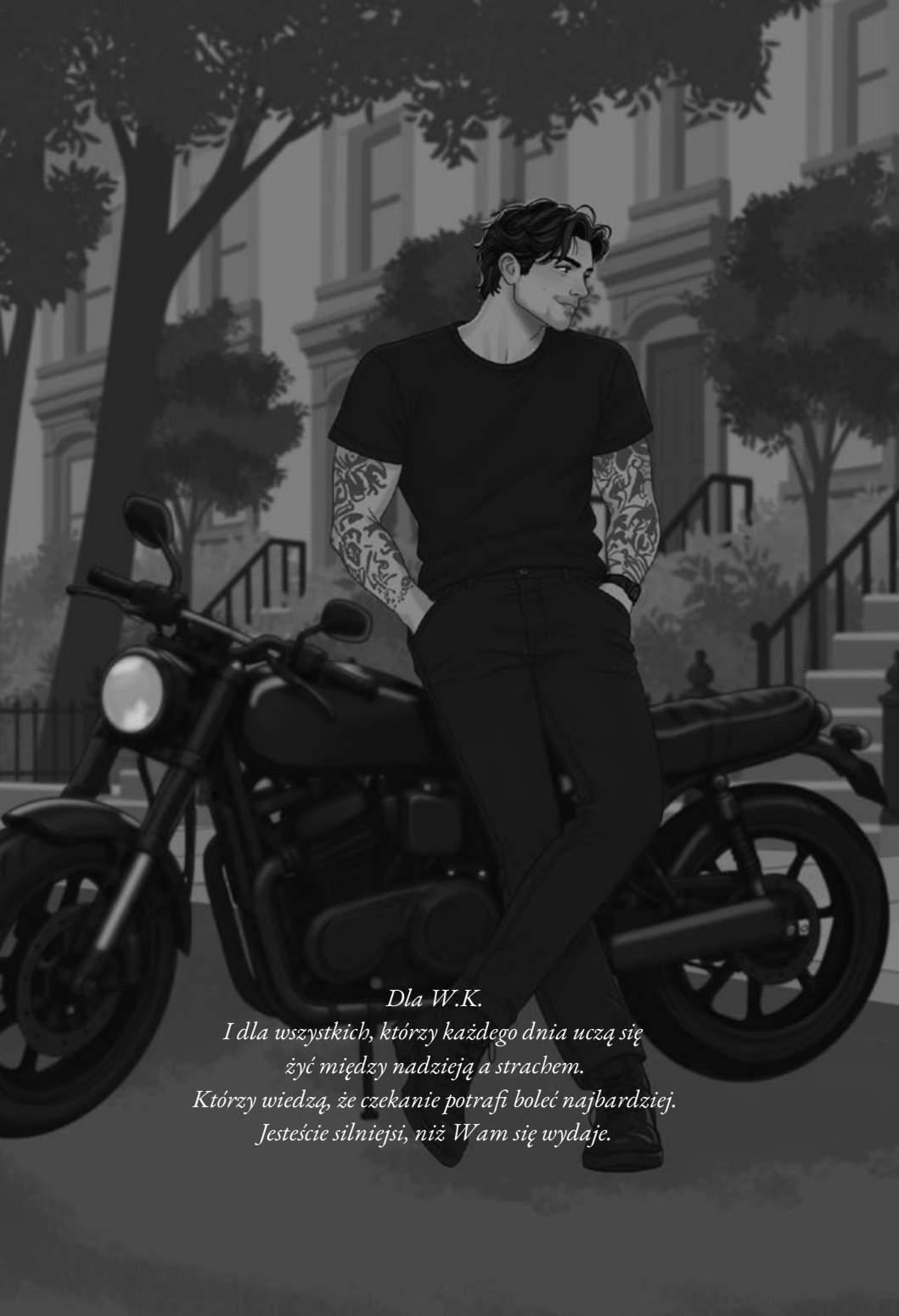
Skład, łamanie i przygotowanbie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68916-57-7

Rebelde
WYDAWNICTWO


TAM, GDZIE RODZI SIĘ BURZA
Pod Powierzchnią #1
JULIA HELLAR
Rebelde
WYDAWNICTWO



Dla W.K.
I dla wszystkich, którzy każdego dnia uczą się
żyć między nadzieją a strachem.
Którzy wiedzą, że czekanie potrafi boleć najbardziej.
Jesteście silniejsi, niż Wam się wydaje.

Prolog

Connor Wood

Tabula rasa.

Może i rodzimy się z czystą kartą, ale nawet John Locke, wymyślając to pojęcie, nie przewidział jednego – ta czysta karta, o której tyle pierdolił, zapełnia się w zatrważającym tempie. Pierwszy oddech, pierwszy krzyk, pierwsze spojrzenie – i już ktoś zaczyna kreślić nasz los. Czasem piórem, czasem nożem.

Tak, dużo filozofowałem. Ale głównie dlatego, że to, co w umyśle, było dla mnie najbezpieczniejsze. Niewypowiedziane myśli nie zostawały narażone na ocenę, a ocena na drwiny. Nie żebym się jakoś szczególnie nimi przejmował. Nie lubiłem obłudników, kłamców i hipokrytów.

Najbardziej się bałem, że stanę się jednym z nich. Dlatego uciekałem. Nowy Jork zostawał za mną, a ja wgryzałem się w asfalt, wtulony w motocykl. Prędkość dawała alibi – dowód na to, że wciąż potrafię być wolny. Mogłem mijać kolejne samochody, drwić z ich niemocy, czuć przez chwilę, że mam kontrolę.

Problem w tym, że nie wiedziałem, dokąd jadę. A moja podświadomość miała w tym czasie własny plan – wpychała mi przed oczy obraz uroczej blondynki w kwiecistej sukience. Nie, to nie mogło być to, czego szukałem. Bo jeśli by było... stałbym się hipokrytą.

Urodziłem się z czystą kartą. A życie zapisało na niej jedną, niepodważalną prawdę: miłość nie jest wybawieniem. To kłamstwo tak piękne, że całe pokolenia poddają mu się bez walki, poświęcając wszystko.

Ale kłamstwo zawsze będzie tylko kłamstwem – nawet jeśli pachnie różami i błyszczy złotem.





Rozdział 1

Rachel Hunt

Kilka tygodni wcześniej

Kochałam swoją pracę.

Nie, nie dlatego, że zbawiałam w niej świat i ratowałam ludzkie życia. Nic z tych rzeczy. Pracowałam w firmie, w której tysiące osób pomagało bogaczom pomnażać ich fortuny, a naszego prezesa każdego roku wprowadzać na listę najzamożniejszych ludzi świata.

A ja byłam jego osobistą asystentką.

Hamilton Multinational Corporation Group, w skrócie HMC Group, to miejsce, które nauczyło mnie prawdziwego korporacyjnego życia, a jego założyciel, Simon Hamilton, najbystrzejszy, ale też chyba najdziwniejszy facet, jakiego znałam, przyczynił się do tego, że moja samoocena wystrzeliła w kosmos, gdy tylko się tam zatrudniłam. Głównie dlatego, że według Simona nie było zadania, z którym bym sobie nie poradziła. Jaki więc miałam wybór? Musiałam sobie radzić.

Zarywałam noce, by zrozumieć giełdę. Uczestniczyłam w kursach dotyczących zagranicznych rynków finansowych, uczyłam się ekonomii i walut, godzinami śledziłam najróżniejsze ustawy i zachodzące w nich zmiany, a na koniec obserwowałam, jak to wszystko oddziałuje na siebie nawzajem, i starałam się wyciągać jak najdokładniejsze wnioski, które później pomogłyby mojemu szefowi podbijać kolejne rynki i wzbogacać konto o jeszcze więcej zer.

Gdy cztery lata temu kończyłam studia prawnicze na Columbii, nie przypuszczałam, że wylądуję na stanowisku asystentki prezesa wielkiej korporacji. Rodzice, którzy prowadzili kancelarię, byli niepocieszeni. Miałam iść ich śladem, zostać wziętą prawniczką, przejąć po nich schedę. Zwłaszcza że mój brat wybrał zupełnie inną drogę. A ja? Zostałam asystentką. Na dodatek Simona Hamiltona.

Nie żeby mieli z nim problem. Po prostu nie podobało im się to, jak rozwiązał sprawę swojego niedoszłego zięcia – Roberta Thompsona. Chłopak zdradził córkę mojego szefa, za co poniósł srogą karę. W ciągu jednego dnia Hamilton, dzięki wpływowym kontaktom, odebrał mu wszystko, a moim rodzicom jako jednym z niewielu na Manhattanie nie zabrakło odwagi, by po tych wydarzeniach zatrudnić Thompsona u siebie. Podobno był świetnym prawnikiem, ale nie wnikałam w szczegóły. Simon nie angażował mnie do swoich prywatnych spraw. Nigdy nawet nie prosił, bym odniosła mu garnitur do pralni – chociaż i tak szczególnie często w nim nie chodził.

Od tego była Marie. Druga asystentka zajmująca się właśnie takimi rzeczami – pralnią, kupowaniem wakacyjnych biletów dla Hamiltonów, zamawianiem prezentu na urodziny żony, przynoszeniem kawy z kawiarni po drugiej stronie ulicy. Marie była żywiołowa, energiczna i gadatliwa, ale świadoma swoich kompetencji i obowiązków, dlatego żyłyśmy w zgodzie. Miałam dziwne przeczucie, że swoje zatrudnienie zawdzięczała żonie Simona, ale wolałam się w to za bardzo nie zagłębiać.

Wracając do mnie, gdy moi rodzice dowiedzieli się, że zbiegiem okoliczności – i przez lekkie podrasowanie CV – podjęłam pracę w HMC Group, delikatnie mówiąc, nie byli zadowoleni. Stanowisko asystenckie nie kojarzyło im się z prestiżem, do którego przywykli, prowadząc kancelarię na Manhattanie, ale oni nie rozumieli jednej, bardzo ważnej rzeczy.

Nigdy nie chciałam być prawniczką.

Na studia poszłam tylko dlatego, że nie miałam lepszego pomysłu. Ale to w HMC Group czułam się jak ryba w wodzie. Nie sądzę, by istniało jakiekolwiek miejsce na świecie, w którym nauczyłabym się tak dużo w tak krótkim czasie, albo by jakikolwiek inny szef tak bardzo ufał swoim współpracownikom.

– Ziemia do Rachel – usłyszałam śpiewny głos Marie. – Idę po kawę dla Simona, chcesz też?

Uniosłam wzrok znad komputera, pocierając brodę.

– Tak, tak, poproszę – mruknęłam.

Kobieta wbiła we mnie przenikliwe, zdecydowanie bardziej dojrzałe od mojego spojrzenie.

– Nad czym się tak zamyśliłaś? – zapytała, a ja nie wiedziałam, co robić.

Zawsze starałam się oddzielać życie prywatne od zawodowego, ale nie dało się ukryć, że w ostatnim czasie problemy rodzinne zaczęły oddziaływać na poziom mojego skupienia. Odpływałam myślami, wybijałam się z rytmu, zapominałam o podstawowych sprawach. Gdyby nie starsza koleżanka, która skutecznie podsłuchiwała moje rozmowy z Simonem, o niektórych obowiązkach po prostu bym nie pamiętała.

Westchnęłam, krzywiąc się, co od razu odczytała prawidłowo.

– Och, skarbeczku – westchnęła i pochyliła się nad moim biurkiem, by przycisnąć mnie do obfitego biustu. – Jak ona się czuje?

– Raz lepiej, raz gorzej. Ale będzie musiała zrezygnować z pracy. To gówno zalewa jej mózg. Ostatnio ma problemy ze wzrokiem, nie myśli już tak trzeźwo, jak jeszcze rok temu.

– I naprawdę nie mogą ponownie operować?

– Nie – jęknęłam, mrugając żarliwie, by odpędzić kumulujące się pod powiekami łzy.

Moja mama miała glejaka. Walczyła z tym cholerstwem już kilka ładnych lat. Przeszła jedną operację, podczas której została usunięta część guza – wrósł się tak mocno w tkanki, że nie dało się usunąć całości. Od tamtego czasu powłóczyła nogą, więc musiała się pożegnać z ukochanymi butami na wysokich obcasach, tak ważnymi w stroju wziętej prawniczki specjalizującej się w rozwodach.

– Rodzice zostawili mi kamienicę w West Village, a sami przenoszą się do domu na Long Island, by mama mogła korzystać z ogrodu i cieszyć się spokojem z dala od zgiełku miasta.

Marie pokiwała ze współczuciem głową i poklepała mnie po ramieniu.

– Tam będzie jej teraz lepiej – stwierdziła pocieszająco.

– Muszę zrobić remont. – Potrzebowałam za wszelką cenę oderwać myśli od tego przygnębiającego tematu. – Już od dwóch czy trzech lat to miejsce aż się prosi o to, by je odświeżyć, ale dla spokoju mamy niczego nie ruszali. Jednak nie mam wyboru, trzeba to ogarnąć, zanim się tam wprowadzę. Znasz może jakąś godną polecenia firmę?

Kobieta spojrzała na mnie, jakbym urwała się z choinki.

– Stonemarrow Group? – Uniosła brwi, sugerując tym gestem, że to było oczywiste.

– Ale oni robią też mniejsze projekty?

– Nie wszystkim. – Puściła do mnie oko. – Pogadaj z Simonem. Jego córka przyjaźni się z dziewczyną, która zasiada tam w zarządzie i chyba zajmuje się wnętrzami.

Boże, błogosław Amerykę i Marie Holton, która wie wszystko o wszystkich.

– Marie? – zagaiłam, gdy już odchodziła od mojego biurka. Zatrzymała się i spojrzała na mnie przez ramię. – Simon nie ma pojęcia o chorobie mojej mamy i chciałabym, by tak pozostało.

Skrzywiła się, kręcąc głową.

– Nie możesz tego ukrywać, Rach – rzuciła karcącym tonem.

– To nie ma związku z moją pracą – powiedziałam twardo.

– Oczywiście, że nie ma. Ale nie jesteś cyborgiem. Czasami będziesz potrzebowała więcej luzu. A mówimy o Simonie. Rodzina na pierwszym miejscu, niezależnie od sytuacji.

Nie dało się ukryć, że Simon był dość ekscentrycznym biznesmenem. Kiedy tylko jego córka pojawiała się w drzwiach firmy, on rzucał wszystko, by móc poświęcić jej czas. Inwestor z Japonii po kilkunastogodzinnym locie? Mógł poczekać. Grupa miliarderów z Zachodniego Wybrzeża? Nieważne. Gdy Olivia Hamilton tu była, wszystko inne przestawało mieć znaczenie. Czasami jej tego zazdrościłam. Ja z moimi rodzicami musiałam umawiać się na lunch za pośrednictwem sekretarki.

Nie żeby się o mnie nie troszczyli. Kochali mnie, dbali o wszystkie potrzeby, starali się być zawsze wtedy, gdy ich potrzebowałam. Ale

w międzyczasie… dużo pracowali. Rodzinne śniadania i kolacje raczej nie pasowały do naszego domu.

– Powiem mu, obiecuję. Ale jeszcze nie teraz – ucięłam temat i wbiłam wzrok w ekran komputera, usilnie próbując przypomnieć sobie, co oznaczał ciąg cyfr, który właśnie wyświetlał się przed moimi oczami.

Kiedy sterowane elektronicznie drzwi zasunęły się za Marie, westchnęłam, oparłam się na fotelu i przymknęłam na chwilę powieki. Wiedziałam, że nie puszczę pary z ust. Nie mieszałam pracy i życia prywatnego. To dwie zupełnie inne sfery i dwie zupełnie inne Rachel.

W pracy byłam do bólu profesjonalna. Elegancka, zachowująca uprzejmy dystans. A w domu… W domu byłam burzą. Energią. Żywiołem. Rozpuszczałam spięte włosy, wskakiwałam w sukienkę w kwiatki i plotłam trzy po trzy, ile mi ślina na język przyniesie, żeby odreagować długie biurowe godziny, kiedy musiałam chować swoją prawdziwą tożsamość, by nie zostać uznaną za głupiutką blondynkę z bogatymi starymi.

Otworzyłam oczy, zamknęłam Excela i weszłam w przeglądarkę internetową. Wpisałam nazwę „Stonemarrow Group", a na ekranie wyświetliła się elegancka strona należąca do najbardziej prestiżowej firmy architektonicznej w Nowym Jorku. Właściwie to było coś więcej niż tylko grupa dobrych architektów. W Stonemarrow można było zamówić usługę od A do Z. Od dopilnowania formalności związanych z zakupem działki, przez projekty, aż do zawieszenia ostatniego obrazu na ścianie. Ale inwestycje, których się podejmowali, zawsze były ogromne. Biurowce, hotele, apartamentowce, prywatne rezydencje z garażem na osiemnaście samochodów. Moja trzystumetrowa kamienica wydawała się niewartą ich uwagi drobnostką.

Szef współpracował z nimi przy każdej nieruchomości – jeśli chciał ją kupić, oni najpierw sprawdzali, czy nie rozleci się przy większym podmuchu wiatru i czy jest warta swojej ceny, którą następnie zbijali, a na koniec wchodzili tam z ekipą. Gdy planował coś stawiać – oni odwalali całą robotę. Ich flagowy projekt – hotel Clou – należał kiedyś do partnera córki Simona.

Wszystko zostawało w szczęśliwej i obrzydliwie bogatej rodzinie Hamiltonów.

Clou nie bez powodu stało się wizytówką Stonemarrow Group. Hotel, w którym mieściły się najbardziej ekskluzywny klub nocny i kasyno, był architektonicznym dziełem sztuki, a dzięki niemu nazwisko głównego projektanta – Connora Wooda – wypłynęło na szerokie wody świata architektury i nieruchomości. Kilka nagród w prestiżowych konkursach tylko podbiło jego sławę – i zapewne też ego – a koleś nie był jakoś bardzo stary. Na oko dałabym temu gburowatemu typkowi, który łypał na mnie ze zdjęcia, maksymalnie czterdzieści lat. Ale tylko wtedy, gdy przymrużyłabym oczy.

Wiedziałam, że nie wystarczy mi energii, by zrobić research i ogarnąć to samodzielnie. Nie miałam czasu, by po godzinach zgłębiać tajniki zupełnie nowej branży. Nie miałam go też na to, by później pilnować kolejnych ekip kręcących się po moim domu. Potrzebowałam profesjonalistów, którzy odwalą wszystko za mnie, a ja tylko wystawię czek.

Chcąc nie chcąc, wstałam i zapukałam do gabinetu Simona. Przeklinałam się w duchu na samą myśl, że po czterech latach skrupulatnego przestrzegania swoich zasad właśnie zamierzam je złamać i poprosić o prywatną przysługę. Ale remont był czymś, co wykraczało poza moje możliwości.

– Proszę – usłyszałam, po czym nacisnęłam przycisk odblokowujący klamkę i weszłam do gabinetu.

Kiedy zaczynałam pracę w HMC Group, czułam się w tym pomieszczeniu dziwacznie. Stare, wysłużone meble, gramofon, popękana skórzana kanapa i akwarium z żółwiem Hermontem. A na dokładkę Simon Hamilton. Miliarder. Jeden z najbogatszych ludzi Ameryki. Siedział właśnie za biurkiem w różowej koszulce polo i dresowych spodniach. Tylko podczas oficjalnych spotkań widywałam go w garniturze. A miał ich dwa. DWA. Wyglądały identycznie i nosił je na zmianę od lat.

– Co dla mnie masz? – zapytał, gdy uniósł głowę znad dokumentów i uśmiechnął się lekko.

– Właściwie to chciałam prosić cię o pomoc.

Przeszliśmy na ty od pierwszego dnia pracy. Nie znosił niepotrzebnych formalności i sztywnego tonu. Za to jego córka całymi latami znana była w Nowym Jorku jako Królowa Lodu, bo podobno chodziła z kijem wepchniętym w tyłek tak głęboko, że prawie wychodził jej nosem. Ja jednak zawsze ją lubiłam. Była życzliwa, uśmiechnięta i wydawała się po prostu dobrą osobą.

Ale co ja tam mogłam wiedzieć. Najczęściej tylko otwierałam jej drzwi, gdy chciała odwiedzić ojca, a później pół godziny przestawiałam harmonogram, by ogarnąć chaos, który zawsze wywoływała jej wizyta.

– Podobno Olivia przyjaźni się z dziewczyną pracującą w Stonemarrow Group – zaczęłam nieśmiało. – A ja potrzebuję pomocy z remontem. Wiem, że normalnie nie biorą tak małych projektów, ale nie mam pojęcia, do kogo innego mogłabym się zwrócić.

Simon nawet nie starał się ukryć swojego zaskoczenia. Nigdy nie prosiłam go o nic podobnego, więc trudno było się dziwić. Chłop pewnie zbierał szczękę z podłogi.

W sumie w jego wieku to mogłoby być całkiem dosłowne. Chociaż nie, nie był jeszcze aż tak stary. Bo tak całkiem teoretycznie – kiedy człowiekowi wypadają zęby? Musiałam to wygooglować.

Hamilton chrząknął, złapał za leżącą obok komórkę, odblokował ją i zaczął czegoś szukać. Stałam tam, walcząc z zażenowaniem, i patrzyłam, jak przegląda zawartość telefonu. W końcu podniósł głowę i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

– Wysłałem ci prywatny numer Megan Ward. To ta przyjaciółka mojej córki. Zajmuje się wnętrzami. Zwal wszystko na mnie, a na pewno ci pomoże. – To w języku mojego szefa oznaczało: „Powołaj się na mnie".

– Bardzo ci dziękuję – rzuciłam, chcąc jak najszybciej wyjść z tego gabinetu i przestać mu przeszkadzać, ale zdanie, które opuściło jego usta, wprawiło mnie w kompletne osłupienie.

– Czy to ma coś wspólnego z twoją mamą?

Teraz to ja musiałam zbierać szczękę z podłogi. Na szczęście jeszcze niedosłownie. Na razie wszystkie zęby miałam swoje.

Simon przesunął wzrokiem po mojej twarzy, sprawiając wrażenie skruszonego.

– Przepraszam, że o to pytam, Rachel. Normalnie staram się szanować prywatność moich pracowników, ale pamiętaj, że zawsze możesz zwrócić się do mnie o pomoc, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

– Skąd...? – Tylko tyle udało mi się wydusić.

– Mój znajomy pracuje w klinice, w której leczono twoją mamę – wyznał. – Kilka razy widział cię na onkologii. Wiem, że to wysoce nieprofesjonalne, wybacz mi ten brak dyskrecji.

Pokiwałam jedynie głową. Naprawdę nie miałam siły gniewać się na człowieka, któremu tyle zawdzięczałam.

Rozdział 2

Connor

Średniego wzrostu brunetka taksowała mnie wzrokiem i wcale się z tym nie kryła. Podwinęła materiał sukienki – która i bez tego nie była szczególnie długa – by jeszcze bardziej uwydatnić zgrabne nogi. Musiała być stałą bywalczynią siłowni, bo takich łydek nie dostawało się w darze od matki natury. To wynik potu wylanego na treningach, byłem tego pewien.

Przesunąłem po niej znudzonym spojrzeniem, słuchając, jak Megan rozmawia z mężem przez telefon. Ani ja, ani Benedict nie mieliśmy na tyle jaj, by poprosić ją o wyjście na ten czas z pubu, żebyśmy mogli w spokoju kontynuować. To ona tu rządziła i wszyscy mieliśmy tego świadomość.

Megan Ward była wyjątkową osobą. Miała silny charakter i niezwykły temperament. Łatwo wybuchała, szybko się uspokajała, a za swoich bliskich dałaby się pokroić. Dosłownie. Kiedy na kimś jej zależało, walczyła jak lwica.

I tylko dlatego siedziałem w tym miejscu.

Bo gdyby ona nie zabiegała o naszą relację, ja z pewnością bym tego nie zrobił. Nie potrzebowałem wielu ludzi wokół. Od lat miałem Benedicta i to mi wystarczało. Po co komplikować sobie życie kolejnymi relacjami? Relacje to zobowiązania. Powinność interesowania się tym, co dzieje się u bliskich. Dzwonienie z życzeniami urodzinowymi, wspieranie, gdy chujowy szef na kogoś nakrzyczał. Ja nie babrałem się w tym gównie. I chociaż naprawdę ceniłem Megan Ward, nie miałem pojęcia, na jaki dzień przypadały jej urodziny.

Pociągnąłem kolejny łyk bezalkoholowego piwa, krzywiąc się przez jego smak, i ponownie przesunąłem wzrokiem po dziewczynie, która, gdyby mogła, zrobiłaby sobie dobrze, siedząc na krześle pośrodku baru, bylebym tylko zwrócił na nią uwagę. Uśmiechnąłem się kpiąco pod nosem. Z pewnością była atrakcyjna, ale najzwyczajniej w świecie nie miałem na nią ochoty.

– Zaraz zerżnie cię wzrokiem – burknął Ben, zerkając na brunetkę, która teraz przygryzała dolną wargę, zaplatając ramiona na piersiach, co uwydatniło i tak już całkiem pokaźny biust. – Ja bym skorzystał.

– Śmiało – rzuciłem, unosząc kącik ust. – Jest cała twoja.

Benedict przewrócił tylko oczami, wskazując głową na Megan, ciągle prowadzącą rozmowę z mężem. Ona nie pochwalała trybu życia naszego kumpla. Jak tylko widziała, że szykował dla siebie kolejną jednorazową przygodę, zaczynała swój monolog, a żaden z nas nie chciał tego teraz słuchać.

– Poza tym – szepnął tak cicho, bym tylko ja mógł go słyszeć – dupeczka ewidentnie nie ma ochoty na mojego fiuta. Mógłbyś skorzystać.

– To jest kobieta, Ben, nie dupeczka – odparłem. Każdy zasługiwał na szacunek, niezależnie od trybu życia, jaki prowadził. No, może oprócz Benedicta, którego z Meg nazywaliśmy Dickiem. Ta ksywka nie wzięła się przez przypadek. – I nie obchodzi mnie, na co ma ochotę. Nie jestem tobą, nie kurwię się.

Wybuchnął tak donośnym śmiechem, że Megan obrzuciła go piorunującym spojrzeniem. Uniósł dłonie w geście pojednania i udał, że zamyka usta na klucz.

– Ciągle wierny swojej kobiecie – sarknął zjadliwie, po czym pociągnął łyk whisky.

– Brittany nie jest moją kobietą. – Pokazałem mu środkowy palec.

Skurwiel tylko pokiwał pobłażliwie głową. Zamierzał mnie wkurwić. Sprowokować. Chciał, bym wyszedł z tego pubu z kobietą śliniącą się na mój widok i zaliczył ją w ciemnym zaułku. Ale ja miałem to w dupie. I jego, i ją. Mogłem jedynie liczyć na to, że oboje w końcu przestaną upokarzać się na moich oczach.

– Ethan, kochanie, porozmawiamy później, bo tych dwóch dupków nie potrafi wytrzymać pięciu minut, nie otwierając jadaczek – rzuciła do słuchawki zirytowana Megan, po czym pożegnała się i położyła telefon na stole przed sobą. – Jesteś fiutem, Dick – zwróciła się do Benedicta, a ja parsknąłem śmiechem na ten osobliwy dobór słów.

– Dlaczego tym razem? – zaperzył się, prostując na krześle jak rażony piorunem. Zupełnie tak, jakby miał powód do oburzenia.

Ward spojrzała na niego jak na ostatniego kretyna. Czyli całkiem trafnie.

– Po pierwsze obrażasz obcą dziewczynę – zaczęła, a gdy próbował jej przerwać, wsadziła mu krążek cebulowy do ust, skutecznie uciszając. – Po drugie – kontynuowała niezrażona – jesteś zazdrosny o to, że ktoś zwrócił uwagę najpierw na Connora, co jest żałosne. Po trzecie nabijasz się z jego relacji z Britt, a po czwarte dostaniesz kiedyś choroby wenerycznej i żadne z nas nie mrugnie wtedy ze zdziwienia.

Byłem pod wrażeniem podzielności uwagi tej kobiety.

– Nie mam żadnej relacji z Britt – żachnąłem się.

– Nie dostanę cholernej wenery! – krzyknął Ben.

Megan tylko westchnęła, jakby miała do czynienia z niesfornymi dziećmi, złapała swojego eleganckiego drinka i upiła łyk.

– Ethan zaraz po mnie przyjedzie. Przedłużyło mu się spotkanie z Olivią – poinformowała nas, gdy patrzyłem rozbawiony, w jak szybkim tempie opróżnia szklankę.

– Znowu był z tą laską? – zdziwił się Benedict, a ja w duchu przyznałem mu rację.

Lubiłem Warda, ale przyjaźń damsko-męska to bujda na resorach. Obawiałem się, że jeśli jeszcze nie posuwał swojej przyjaciółki, to zaraz zacznie to robić, a wtedy ja będę musiał skręcić mu kark. Nie miałem na to aktualnie ochoty. No i łzy Megan. Na samą myśl o nich przeszły mnie nieprzyjemne dreszcze. Nienawidziłem kobiecych łez. No bo co, do cholery, z nimi zrobić?

– „Ta laska" – syknęła Meg – to Olivia Hamilton i jest też moją przyjaciółką, wy niedojrzali emocjonalnie gówniarze!

Miałem ochotę przewrócić oczami, ale wiedziałem, że dopiero wtedy dziewczyna się nakręci. Kiedy coś ją wkurwiało, potrafiła trajkotać jak opętana, dopóki człowiek dla świętego spokoju nie przyzna jej racji.

– Pierdolenie – mruknął Ben z ustami przyciśniętymi do szklanki. Podziwiałem jego odwagę.

Megan zaraz rzuci się na niego z pazurami.

– Benedikcie Johnie Carterze – zagrzmiała, a ja żałowałem, że nie miałem popcornu. – To, że twoja wrażliwość i inteligencja emocjonalna są tak małe, że nawet mikroskop odmówiłby współpracy, nie oznacza, że masz prawo do podważania relacji innych ludzi!

No i się zaczęło.

– Mówię wam to po raz ostatni: wasze doświadczenia życiowe nie definiują tego, jak funkcjonuje świat – wycedziła, a ja zacząłem się martwić, bo z Bena przeszła też na mnie. Wziąłem głęboki wdech, szykując się na uderzenie atomowe. – Nie możecie wszystkich mierzyć miarą tych, na których się zawiedliście, i każdej relacji porównywać do własnych. Są dobrzy ludzie na tym świecie, chcący stworzyć z drugą osobą coś wartościowego, i niech to w końcu do was dotrze, cymbały, że Ethan i Olivia przyjaźnią się od dziecka i są dla siebie rodziną! Idąc waszym tokiem rozumowania, powinniśmy teraz pieprzyć się w trójkącie!

Zakrztusiłem się napojem, który właśnie próbowałem przełknąć. Kilka głów odwróciło się w naszym kierunku, ale spojrzenie, jakie im posłałem, nie należało do uprzejmych. Dziewczyna przy barze uśmiechnęła się zachęcająco, jakby trójkąt był dla niej dobrą nagrodą pocieszenia, skoro nie mogła dostać tylko mnie.

– Megan, na Boga – mruknął Ben, zsuwając się niżej na krześle. – Przez ciebie będziemy musieli zmienić pub.

– Ty się na Boga nie powołuj, pomiocie szatana, bo ci język sczeźnie – syknęła, celując w niego ostrzegawczo palcem. – Z całego mojego złośliwego serca życzę ci, byś stracił rozum dla jakieś kobiety.

– To już się kiedyś stało – rzucił zirytowany. – Może nie pamiętasz, ale nie skończyło się happy endem.

I to było to. Moment, w którym atmosfera momentalnie ulega zmianie, bo Megan z harpii zmieni się w najbardziej wspierającą osobę na świecie. Zrobi się ckliwie, łzawo i melancholijnie, a ja od tych wszystkich uczuć i emocji dostanę migreny. Nienawidziłem tego.

– Nie każda kobieta jest tak Theresa – powiedziała cicho, kładąc Benowi dłoń na ramieniu. – Nie możesz zamykać się na uczucia, bo raz źle trafiłeś.

Mało brakowało, a Theresa Lee skończyłaby z potężnym i zdecydowanie niewartym swojej ceny pierścionkiem zaręczynowym, ale na szczęście Benedict w porę się domyślił, że nie jest jedynym gościem w sypialni tej odurzająco pięknej kobiety. Ich po brzegi wypełniony skrajnymi emocjami związek trwał dwa lata i miał zakończyć się hucznym weselem. Zamiast tego zabił w Benie tę część, która liczyła na szczęśliwe zakończenie z kobietą i gromadką dzieci.

Dla mnie to było tylko kolejne potwierdzenie, że miłość to mit. Ładna bajka wymyślona dla przedłużenia gatunku. Syf, w którym nie zamierzałem się babrać.

– Megan Ward – oświadczył Ben, a w jego oczach ponownie błysnęła złośliwa wesołość. Najwidoczniej on też nie miał ochoty na gadkę o uczuciach. – Najchętniej ożeniłbym się z tobą, ale niestety do pubu właśnie wszedł szczęśliwiec, który mnie wyprzedził.

Megan zerknęła przez ramię w stronę drzwi, a na jej twarzy wykwitł błogi uśmiech. Niezależnie od tego, jaki miała akurat humor, obecność Ethana tylko go poprawiała. Kompletnie nie rozumiałem, jak można pozwolić innej osobie tak bardzo zawładnąć swoim światem. Stracić niezależność, zobowiązać się do ciągłego bycia z kimś i dla kogoś.

Sama myśl mnie odrzucała.

Meg uniosła dłoń i pomachała, a wtedy Ethan wypatrzył nas w tłumie i zaczął lawirować między stolikami. Jak zawsze na początku kompletnie zignorował mnie i Bena, bo widział tylko żonę. Nachylił się, pocałował ją lekko i pogładził po policzku. Ta scena zawierała w sobie tyle czułości,

że poczułem się skrępowany. W moim życiu seks nie jawił się nawet w połowie tak intymnie.

Po spojrzeniu posłanym mi przez Bena wywnioskowałem, że też właśnie poczuł się niezręcznie.

– Cześć, chłopaki – rzucił w końcu Ethan w naszą stronę i wyciągnął kolejno rękę do mnie i Dicka, a potem mruknął do Megan: – Przepraszam, że tyle to trwało. Olivia wpada powoli w histerię.

Dziewczyna zaśmiała się i zarzuciła mężowi dłoń na kark.

– Powiedz jej, że do ślubu jeszcze trochę. Jest sporo czasu, by zacząć panikować. A biorąc pod uwagę obszerną listę gości, liczącą jakieś dwadzieścia osób, raczej nie ma do tego podstaw.

– Znasz Liv – odparł wyraźnie zmęczony. – Wszystko musi być perfekcyjne. Sullivan mówi, że od dwóch dni schodzi jej z drogi, bo nie chce ryzykować życiem. Zadzwonił do mnie, mając nadzieję, że przemówię Olivii do rozsądku.

– Czy on zna własną narzeczoną? – Megan wyszczerzyła zęby.

Nie rozumiałem tego dziwnego czworokąta, w którym żyli ci ludzie. Ethan teoretycznie przyjaźnił się z Olivią Hamilton, a Megan była bliżej z jej narzeczonym, Matthew Sullivanem. Co to za poprzewracane relacje?

– Czekajcie – rzucił Ben, drapiąc się po brodzie. – Chcecie mi powiedzieć, że córka Hamiltona nie będzie miała wesela na tysiąc osób w Plazie?

Megan tylko wzruszyła ramionami, a Ethan uśmiechnął się do niej, kładąc pod stołem dłoń na jej nodze.

– To nie jest zwyczajny ślub zwyczajnych ludzi. Wszystko jest mocno pokomplikowane – powiedział Ward, machając na kelnerkę.

Zbyt głęboko zapędzaliśmy się w rejony miłości, ślubów, związków i innego gówna, co było dla mnie wyraźnym sygnałem, że najwyższa pora się ewakuować.

– Będę się zbierał. – Podniosłem się z miejsca. Rzuciłem na stół banknot studolarowy i zerknąłem na Meg. – Widzimy się jutro w pracy?

– Tak. Wpadnę do ciebie obgadać ten projekt dla Hamiltona. Simon mówił, że nie będzie wprowadzał wielkich zmian, ale w związku

z zamknięciem kasyna potrzebuje poprzestawiać ściany i przearanżować wnętrza. Podobno chce tam zrobić miejsce na eleganckie przyjęcia.

Kiwnąłem głową. Nie miałem wcześniej zbyt dużo do czynienia z samym Hamiltonem, ale jego przyszłemu zięciowi zawdzięczałem wiele. Hotel, przy którym ponownie mieliśmy pracować z Megan, należał niegdyś do niego. I to dzięki temu projektowi piąłem się po drabinie kariery w zawrotnym tempie. Sullivan dał szansę gówniarzowi, który mógł nie udźwignąć ciężaru tej inwestycji. Może zrobił to dlatego, że sam był młodszy ode mnie i nie chciał pracować ze starymi dupkami w garniturach, a może przez to, że kompletnie nie wiedział, co robi, gdy w wieku dwudziestu paru lat odziedziczył wielki budynek na środku Manhattanu i kilka dodatkowych zer na koncie.

Czułem wdzięczność wobec tego gościa, nawet jeśli on o tym nie wiedział. A to zrodziło presję, by przeskoczyć oczekiwania jego przyszłego teścia i oddać mu projekt, przez który usiądzie z wrażenia. Presja z kolei tylko mnie napędzała.

Pożegnałem się ze wszystkimi i ruszyłem w stronę wyjścia. Na dworze zrobiło się już chłodno, ale to nie miało znaczenia. Odpowiedni strój motocyklowy chronił mnie przed zimnem. Liczyła się tylko chwila, gdy odpalę maszynę i poczuję, jak drży pod moim ciężarem. Bo to nie była jazda – to była wojna z otaczającą mnie z każdej strony ciszą. A moją jedyną bronią był dźwięk silnika.

Ecosse Titanium Series FE Ti XX. Moje cacko. Nadszarpnąłem znacząco budżet, by go mieć, ale wyprodukowano tylko kilkanaście sztuk, więc to było oczywiste, że jeden z nich musiał stać się mój. Motocykle to wolność, ale nie każdy ma odwagę ją przyjąć. Prędkość, która zostawia w tyle wszystkie ograniczenia. Wiatr tnący skórę przypomina, że żyjesz naprawdę. A każdy zakręt to decyzja – czy chcesz wygrać ze strachem, czy dać się połknąć. Adrenalina wdziera się do żył jak ogień, a ryk silnika brzmi niczym wyzwanie rzucone światu.

Jazda na motocyklu była dla mnie jak dobry seks. Mocna, dzika i uzależniająca. Im szybciej, tym trudniej przestać. Wciągała mnie powoli, aż

zatracałem się w niej całkowicie. Droga kusiła obietnicą ekstazy i bólu jednocześnie, a każdy kilometr wbijał się głębiej pod skórę. To było niedające się ugasić uzależnienie – raz spróbujesz, a już zawsze będziesz wracać po więcej.

I wracałem. Ciągle.

Kiedy świat za bardzo próbował nagiąć mnie i dopasować do swoich zakłamanych zasad, wskakiwałem na moją Bestię i jechałem przed siebie. Bez celu. Goniłem prędkość, uciekałem przed myślami. Kierował mną instynkt przetrwania, wyłączając wszystko inne. Emocje, logikę, strach. Zostawiałem to za sobą.

Już dawno podjąłem decyzję, że to temu oddam swoje serce. Kobiety przychodziły i odchodziły. Ale Bestia zawsze czekała, aż wsiądę i przypomnę sobie, kim jestem.

Żałowałem, że mieszkam w pieprzonym Nowym Jorku, którego infrastruktura – przynajmniej w okolicach, po których najczęściej się poruszałem – nie pozwalała na rozwinięcie prawdziwej prędkości. Musiałem lawirować między bezużytecznymi w tym mieście samochodami, które ciągle tkwiły w korkach. Trzeba było uważać na durnych ludzi pakujących się na jezdnię bez sprawdzenia, czy za zakrętem nie czai się śmierć w postaci pojazdu – a w moim wypadku zderzenie z czymkolwiek najpewniej nie zakończyłoby się kolorowo również dla mnie.

Wjechałem do podziemnego garażu i zaparkowałem motocykl. Starym zwyczajem pogładziłem czule maszynę, która pozwalała mi choć przez krótki czas być w pełni wolnym.

Gdy kilka minut później stanąłem przed drzwiami własnego mieszkania, marzyłem już tylko o tym, by zanurzyć się w gorącej wodzie. Wciąż czułem palący ból w mięśniach po wczorajszym treningu. Zdążyłem się już do niego przyzwyczaić, bo mój trener nie należał do tych litościwych. Ale to ceniłem w nim najbardziej. Dzięki niemu mogłem jeździć w długie trasy bez nadmiernego nadwyrężania ciała.

Włożyłem klucz do zamka i z niemałym zdziwieniem zorientowałem się, że drzwi są otwarte. Nigdy nie zdarzyło mi się zapomnieć zamknąć

mieszkania, a to mogło oznaczać tylko jedno. Przetarłem czoło dłonią, modląc się, bym jednak się pomylił, ale jak tylko wszedłem do środka, wiedziałem, że nic z tego.

Lekkie światło sączyło się z salonu, a z głośników wybrzmiewała delikatna muzyka. Miałem ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść. Pewnie bym tak zrobił, gdyby nie to, że Brittany musiała usłyszeć moje kroki, bo chwilę później stanęła w przedpokoju, przybierając seksowną pozę.

Miała na sobie tylko koronkową bieliznę i buty na wysokich obcasach. Każdego jebanego dnia mój fiut stanąłby na sam ten widok, ale nie tego. Nie, kiedy dostałem telefon od Matthew Sullivana – teoretycznie sprzedał hotel Hamiltonowi, ale obiecał, że zajmie się nim do czasu znalezienia odpowiedniej osoby na to stanowisko – z prośbą, bym osobiście zajął się projektem przerobienia kasyna w Clou. Myśli błądziły tylko w tamtym kierunku. Nigdy przedtem nie współpracowałem z Simonem Hamiltonem. Był potężnym człowiekiem, którego jedno pstryknięcie palcami mogłoby spowodować, że Nowy Jork zmieniłby rytm dnia.

– Czekałam na ciebie – mruknęła Brittany, wyginając się ponętnie.

– Niemożliwe – sarknąłem, wymijając ją.

Odrzuciłem skórzaną kurtkę na komodę i przeszedłem w stronę kuchni, by sięgnąć do lodówki po normalne piwo. Nie lubiłem tych bezalkoholowych sików, ale miałem jedną, niepodważalną zasadę – nie prowadziłem po alkoholu. Zbyt wielu skończonych zjebów odebrało w ten sposób komuś życie.

– Nie bądź taki – usłyszałem za sobą śpiewny głos Britt.

Przymknąłem powieki i oparłem czoło o lodówkę, modląc się w duchu, by się poddała i po prostu sobie poszła.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytałem, odwracając się do niej. – I nie, „Czekałam na ciebie" nie wystarczy. To wbrew zasadom.

Układ między nami był jasny – gdy któreś z nas miało ochotę na seks, dzwoniliśmy do siebie. Ale tylko do siebie. Gdyby przespała się w międzyczasie z kimś innym, nigdy więcej nie zobaczyłaby mojego penisa. Nawet

ja nie byłem tak wyrachowany, by w tym samym czasie spotykać się z wieloma kobietami, i tego też oczekiwałem od partnerki seksualnej.

Czy nie kusiły mnie inne kobiety? Oczywiście, że kusiły. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić, jak usta ślicznotki z pubu obejmują mojego fiuta. Ale układ z Britt był wygodny. Nie wymagał ode mnie podchodów i komplementów. Nie musiałem się starać i udawać, że mi zależy. Wystarczał jeden telefon, a pół godziny później już się pieprzyliśmy.

– Kupiłam dzisiaj nowy strój i pomyślałam, że sprawdzę, jak ci się podoba – wymruczała, przysuwając się do mnie i kładąc mi dłoń na kroczu.

Przewróciłem oczami.

– Powinnaś była zadzwonić. Jak się tu w ogóle dostałaś? – Ciągle zachodziłem w głowę, skąd wzięła klucz.

– Uśmiechnęłam się ładnie do portiera – wyznała, obdarzając mnie tym samym wyrazem twarzy, co zapewne wcześniej tego biednego człowieka.

Tego, który jutro straci pracę, bo Brittany nie było na liście osób mogących tak po prostu wejść do mojego mieszkania. Nie widniał na niej nikt oprócz moich rodziców, Bena i Megan. I tylko Meg chętnie z tej możliwości korzystała.

Ścisnąłem palcami nasadę nosa. Nie lubiłem być wytrącany z równowagi, ale Britt robiła wszystko, co w jej mocy, by do tego doprowadzić. Musiałem ją uciszyć.

– Uklęknij – warknąłem, a ona wykonała polecenie z lubieżnym błyskiem w oku.

Rozdział 3

Connor

Byłem cholernie niewyspany. Irytowało mnie to, bo sen stanowił ważny element mojego życia. Musiałem mieć w pełni trzeźwy umysł, gdy prowadziłem motocykl, ale też wtedy, gdy projektowałem klientom nieruchomości. Każdy błąd mógł kosztować wiele – nie zawsze w kwestii finansowej. Źle zaprojektowany budynek to ryzyko dla każdego, kto się w nim znajduje.

A nie mogłem spać, bo Brittany uparła się, że nie chce wracać w nocy do domu. Tak jakby pokonanie tych pięciu przecznic zamówioną przeze mnie taksówką było najgorszym, co mogło ją spotkać poprzedniego wieczoru. Nie chcąc wyjść na ostatniego chuja, zaproponowałem jej sypialnię dla gości, ale ona w środku nocy wślizgnęła się mojego łóżka.

To było wbrew zasadom.

My się nie przytulaliśmy, nie spędzaliśmy razem nocy ani nie udawaliśmy, że kiedykolwiek mogłoby się to zmienić. Układ był jasny – telefon, seks i każde idzie w swoją stronę. Britt jednak coraz częściej starała się naginać ustalone wcześniej reguły, a to zmuszało mnie do przemyśleń, czy nie wyplątać się z tej – jak by to nazwała Megan – relacji.

Kiedy próbowałem uświadomić Brittany, że przegina, ona stwierdziła, że nie może usnąć, gdy nie jest u siebie. A czy to w ogóle był mój problem? Przecież wcale nie chciałem, by zostawała. To ona się upierała przy swoim, powinna więc ponieść konsekwencje własnych decyzji. Nienawidziłem, gdy ktoś spał obok mnie. Czułem się niezręcznie i brakowało mi

prywatności, a kiedy śpiąca Britt mnie objęła, zrobiło mi się nieprzyjemnie gorąco i ostatecznie to ja wylądowałem w sypialni dla gości.

Cholerny koszmar.

Rano pojawił się kolejny problem – ta szczycąca się niezależnością kobieta nalegała, bym odwiózł ją do domu. Tyle tylko, że nie posiadałem samochodu, a nie zgadzałem się na to, by ktoś jeździł ze mną na motocyklu. Bestia stanowiła chwilę wytchnienia. Symbol wolności. Synonim przyjemności płynącej z samotności. Przyklejona do moich pleców kobieta zaprzeczyłaby wszystkiemu. Musiałbym bardziej się pilnować, przestrzegać wszystkich ograniczeń i... czuć jej ciało ciągle przy swoim. Sama myśl mnie odrzucała.

Nie, to nie mogłoby się wydarzyć.

Ostatecznie zamówiłem naburmuszonej Brittany taksówkę, czując, że nasz układ zbliża się wielkimi krokami do końca. Nie odpowiadało mi to. Irytowało jak cholera, bo umowa była wygodna. Nie musiałem się starać – miałem dziewczynę na telefon. Gdy będzie po wszystkim, ochota na seks zmusi mnie do odstawienia się w ładny ciuch, popsikania drogimi perfumami, założenia Rolexa na nadgarstek i ćwiczenia miłych słówek – a nigdy nie byłem w tym dobry.

Co za patowa sytuacja.

Gdy tylko wszedłem do swojego biura w Stonemarrow Group, wiedziałem, że wszystkie plagi, które wszechświat dla mnie planował tego dnia, jeszcze nie zostały zrzucone. Na biurku leżał stos dokumentów, a z całą pewnością nie było go tu poprzedniego dnia. Nienawidziłem bałaganu – zarówno w życiu, jak i w otoczeniu. Nie zostawiłbym porozrzucanych papierów.

Wziąłem jedną z teczek do ręki i zrozumiałem, że to stare projekty hotelu Sullivana. Te, które robiliśmy kilka dobrych lat temu, by dopasować hotel do nowych standardów i stworzyć z niego iście instagramową atrakcję. I osiągnęliśmy to. Turyści robili sobie zdjęcia pod szyldem Clou – dokładnie tak, jak w Plazie. Moja asystentka musiała wyciągnąć projekty z archiwum, ale sposób, w jaki je rozłożyła, pozostawiał wiele do życzenia.

Potrzebowałem przede wszystkim elektronicznej wersji. Era papieru już dawno przeszła do lamusa. Odnotowałem w myśli, żeby ją za to opierdolić.

Najchętniej bym ją wyrzucił, ale to już druga zatrudniona przeze mnie dziewczyna w tym kwartale. Stary by mnie zabił, jeśli przyszedłbym do niego z informacją, że jednak jest chujowa i potrzebuję nowej.

Ale co mam zrobić, skoro naprawdę jest chujowa?

– Connor? – Delikatny głos Megan przykuł moją uwagę. Odwróciłem się w stronę drzwi, o które była oparta. – Dobrze, że już jesteś. Czekałam na ciebie.

– Musiałem najpierw jechać na budowę – mruknąłem, patrząc na nią podejrzliwie. Owszem, planowaliśmy wspólnie omówić projekt dla Hamiltona, ale miałem to wyraźnie zaznaczone w kalendarzu na późniejszą godzinę.

– Możesz na coś zerknąć? – zapytała. – Mała inwestycja. Kamienica w West Village. Prywatna inwestorka. Niewielki projekt jak na nasze standardy, ale Simon prosił, bym się tym zajęła.

Miałem ochotę przewrócić oczami. Skoro prosił Hamilton, to w grę mogła wchodzić wyłącznie współpraca z bogatymi dupkami, którzy na każdym kroku wykorzystują znajomości, nie dbając przy tym o zasady panujące w danej organizacji.

Zasady. Są. Ważne. Do. Chuja.

– Skoro prosił ciebie, dlaczego ja powinienem się tym interesować? – burknąłem, obszedłem biurko i schowałem skórzaną kurtkę do szafy.

– Bo proszę cię o pomoc, ty dwunożny przedstawicielu gatunku *homo gburus* – warknęła.

Megan Ward. Dla niej określenie „dupek" to zdecydowanie za mało.

– Dziewczyna chce wprowadzić zmiany w konstrukcji. Nie jestem konstruktorką, nie zamierzam wyliczać tego samodzielnie, bo jeszcze sufit spadnie jej kiedyś na głowę, dlatego rusz swój nadęty tyłek i mi pomóż.

Złapałem palcami nasadę nosa, modląc się o cierpliwość do tej kobiety. Nie wiedziałem, jak to się działo, ale ona jako jedyna potrafiła wzbudzić we mnie jakiekolwiek uczucia przypominające potrzebę niesienia pomocy.

Jej oczywiście. Nie inwestorom czy tam inwestorce, która w dupie miała rdzeń naszej działalności, posiłkując się posiadaniem numeru do ludzi znaczących o wiele więcej od niej samej.

Zrobiłem minę mającą zasugerować Meg, że robię to tylko dla świętego spokoju, a ona wynagrodziła mi to wyciągniętym środkowym palcem, ale tak to właśnie między nami wyglądało. To oznaczało, że nam zależy.

Wyszedłem za nią z gabinetu i burknąłem przy okazji na siedzącą przed pokojem asystentkę, by zrobiła porządek w papierach, które niedbale rzuciła na biurko, a następnie znalazła ich elektroniczną wersję. Tą papierową mogłem sobie co najwyżej dupę podetrzeć.

– Nie martw się, on dla każdego jest chujem – mruknęła Megan do dziewczyny, której imienia nie mogłem zapamiętać, a na twarzy asystentki pojawił się wyraz przerażenia. Chyba bała się, że wyleci z pracy tylko za to, że to usłyszała.

Złapałem Meg za ramię i pociągnąłem za sobą.

– Pamiętaj, że to ty potrzebujesz mojej pomocy, nie odwrotnie – fuknąłem, ale ona tylko wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

Gdy weszliśmy do jej biura, a ja zobaczyłem inwestorkę, miałem ochotę brać nogi za pas. Na fotelu dla gości siedziała blondynka w błękitnej sukience w kwiatki. Włosy podpięła spinką w kształcie słonecznika, miała wyraźnie zaróżowione policzki i błyszczące od nadmiaru kosmetyku usta.

Typowa bogata panienka z przerośniętym funduszem powierniczym. Pewnie dostała dom od dzianych starych i teraz jej obie szare komórki próbowały ogarnąć remont. Nie miałem najmniejszego zamiaru wchodzić w ten projekt.

Już chciałem odwrócić się na pięcie i tak po prostu wyjść, gdy Meg przytrzymała mnie za ucho. Tak, kurwa, za ucho. Było to na tyle bolesne, że zatrzymałem się niemal z jedną nogą w górze.

Cholerna Megan Ward. Niech mi ktoś przypomni, dlaczego utrzymywałem bliskie kontakty z tą kobietą. Nikt na całym świecie tak mnie nie wkurwiał.

– Jak już mówiłam, Rachel – zwróciła się do blondynki – ingerowanie w konstrukcję budynku nie należy do moich kompetencji, ale na szczęście blisko współpracuję z genialnym konstruktorem, który z wielką przyjemnością zerknie na plany twojej kamienicy. Connor to nasza gwiazda i promyczek szczęścia.

Rzuciłem jej mordercze spojrzenie, mówiące, że zemszczę się srogo za to pierdolenie, ale ona – jak to ona – zupełnie mnie zignorowała. Nie miałem nad nią kompletnie żadnej władzy, co było nieziemsko wkurwiające.

Nie obdarzając blondyny uwagą, podszedłem do biurka Ward i omiotłem spojrzeniem przyniesione przez inwestorkę projekty. Już na pierwszy rzut oka widziałem wyraźnie, że budynek ma swoje lata. Wszystkie plany wymagały ponownego przeliczenia. Zbyt dużo pracy jak na wynagrodzenie, które mógłbym uzyskać.

– Nie wezmę tego – powiedziałem, patrząc twardo na Meg. – To najpierw trzeba zdigitalizować, a później liczyć od nowa. Nie będę się w tym babrać.

– Connor – warknęła ostrzegawczo.

– Bardzo pana proszę – usłyszałem delikatny, cieniutki głos i z niechęcią przeniosłem wzrok na blondynkę.

Musiałem oddać jej to, że była naprawdę ładna. Duże błękitne oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, zadarty nos i idealnie równe, zapewne pełne kwasu hialuronowego usta. Coś w niej zachęcało do tego, by po prostu się jej przyglądać. Hipnotyzowała, chociaż zdawała się w ogóle nie mieć świadomości, że wprowadza ludzi w taki stan samym wyglądem.

– Megan, zlituj się. – Z trudem oderwałem wzrok od inwestorki. – Z tym jest cała masa pracy, a dobrze wiesz, że czeka mnie o wiele ważniejszy projekt.

Rzuciłem Ward sugestywne spojrzenie. Miała świadomość tego, ile czasu pochłonie przerobienie całego piętra w Clou. To było jebane kasyno. Z wielkim, chronionym skarbcem, specjalnym systemem monitoringowym wymagającym odpowiedniej elektryki i całą masą innych rzeczy, które trzeba było przeprojektować.

– To świetnie się składa, że nie masz życia osobistego, prawda? – syknęła, ledwo otwierając usta. – Możesz trzaskać nadgodziny.

Ja pierdolę. Ta kobieta wpędzi mnie kiedyś do grobu.

– Panie Wood – odezwała się blondynka, zrywając się na równe nogi. – Nazywam się Rachel Hunt i naprawdę zależy mi na współpracy. Jestem w stanie zapłacić podwójną stawkę. Potrzebuję pomocy, a nie mam pojęcia, do kogo innego mogłabym się zwrócić.

Hunt... Hunt... Zacząłem grzebać w pamięci, szukając choćby skrawka informacji wyjaśniającej, dlaczego to nazwisko brzmiało znajomo. Ostatecznie wyszedłem z założenia, że pierwsza konkluzja była prawidłowa, a blondyna ma po prostu dzianych starych przewijających się przez biznesowy światek Nowego Jorku.

– Jest cała masa firm, które mogą pani pomóc – stwierdziłem.

– Ale oni nie zajmą się tym od A do Z, a ja potrzebuję kompleksowego wsparcia. Stonemarrow Group jest sprawdzoną marką na rynku, a pana nazwisko gwarantuje udany projekt. Czy mam przed panem klęknąć? Mogę to zrobić!

Przeniosłem na nią zszokowane spojrzenie, a determinacja i odrobina szaleństwa wymalowane na ładnej twarzy wskazywały na to, że dziewczyna naprawdę byłaby skłonna błagać mnie na kolanach. Zerknąłem na Megan nieudolnie próbującą powstrzymać pchający się na usta uśmiech. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów komuś udało się doprowadzić mnie do stanu, w którym nie wiedziałem, jak sklecić sensowne zdanie.

Panna Hunt nie czekała długo na odpowiedź. Opadła przede mną na kolana, a moje oczy musiały z pewnością przypominać wielkością denka od słoików. Jednak kiedy tylko uniosła wzrok i rzuciła mi spojrzenie spod długich, dokładnie wytuszowanych rzęs, a jej policzki zaróżowiły się jeszcze bardziej, wyobraźnia – do tej pory dość uboga – zerwała się ze smyczy.

W głowie pojawił mi się obraz tej kobiety klęczącej przede mną w zupełnie innej sytuacji i z zupełnie inną intencją. Mój kutas drgnął, a ja całą siłą woli zmusiłem się, by wymazać te myśli z pamięci i wrócić do rzeczywistości.

Odchrząknąłem, robiąc krok w tył.

– Czy pani postradała rozum? – zapytałem szorstko, co wcale nie wynikało z oburzenia. Raczej z wypieranego z całych sił podniecenia.

– Ostrzegałam, że to zrobię. I będę tu klęczeć, dopóki pan się nie zgodzi – zagroziła, a Megan musiała odwrócić się w stronę okna, by ukryć rozbawienie, z którym najwyraźniej już nie potrafiła walczyć. – Nie ogarnę tego wszystkiego sama, mam za dużo obowiązków, by podołać koordynacji remontu. Kompletnie się na tym nie znam, przerośnie mnie to, robotnicy zrobią fuszerkę, a ja nawet nie będę wiedziała, czy jest to wina hydrauliki, czy elektryki, a na koniec wyjdzie na to, że zainstalują mi gniazdko elektryczne pod prysznicem, a ja tylko przyklasnę, bo przecież...

– DOŚĆ – rzuciłem, unosząc ręce w geście, który miał dać jej do zrozumienia, by w końcu przerwała ten bezsensowny słowotok i zamilkła. Megan Ward właśnie straciła status najbardziej irytującej kobiety na świecie. – Proszę natychmiast wstać.

– Ale zgodzi się pan? – nalegała, wciąż klęcząc.

– Panno Hunt...

– Panie Wood – przerwała mi, a ja zrozumiałem, że zanim tu przyszła, musiała zrobić research, bo przecież się nie przedstawiłem. – Pan sobie nie zdaje sprawy z tego, ile błędów można popełnić, planując remont domu. Ja to wszystko sprawdziłam. Pragnę otworzyć kuchnię na salon, bo marzy mi się większa przestrzeń. Chcę mieć poczucie, że nic mnie nie ogranicza we własnym domu. Ale jeżeli wyburzą mi złą ścianę, cała konstrukcja może się zachwiać. I co ja później miałabym...

– Panno Hunt, na litość boską! – podniosłem głos, bo jej miauczenie za mocno wwiercało mi się w czaszkę. – Mam świadomość tego, ile błędów można popełnić, gdy ingeruje się w konstrukcję domu.

– Ach, no pewnie, że pan ma! – Zaśmiała się, machając ręką. – Przecież jest pan najlepszy, prawda?

– Panno Hunt, nalegam, by pani wstała.

– Ale pomoże mi pan?

– Panno Hunt...

– Naprawdę mi zależy, panie Wood! Wiem, że normalnie nie współpracuje pan przy tak małych projektach, ale ja wybitnie potrzebuję...

– Dobrze.

Momentalnie zamilkła, mrugając.

– Pomoże mi pan? – zapytała z nutką niedowierzania.

– Cokolwiek, byle w końcu wstała pani z tej podłogi – warknąłem. Nie byłbym w stanie patrzeć na nią w tej pozycji ani chwili dłużej.

Wood, jesteś pieprzonym zbokiem.

– O mój Boże, jak cudownie! – pisnęła.

Podniosła się i zrobiła kilka kroków w moją stronę, a ja z przerażeniem odnotowałem, że chyba chciała mnie uściskać. Wyciągnąłem przed siebie otwartą dłoń, by dać jej jasno do zrozumienia, że to się nigdy nie wydarzy. Zatrzymała się w pół kroku, a na jej policzkach wykwitł słodki rumieniec.

Chwila.

Czy ja właśnie nazwałem jej rumieniec słodkim?

Ja pierdolę.

– Hm, tak... – mruknęła, nagle poważniejąc. – W każdym razie jestem panu bardzo wdzięczna, panie Wood.

Ja za to miałem ochotę strzelić sobie w łeb. Zastanawiałem się, jak szybko zacznę żałować podjęcia tej decyzji.